

grzecznie, pewna, że jego życzenie się nie spełni. Los nie miał w zwyczaju się do mnie uśmiechać. Tato pierwszy wyszedł z domu i pojechał na komisariat, który skutecznie zastępował mu żonę. Po jego wyjściu siedziałam przez dłuższą chwilę przy dębowym stole na jednym z trzech krzeseł, z których każde było inne, i lustrowałam wzrokiem niewielką kuchnię. Nic się tu nie zmieniło. Ściany wyłożone były ciemnym drewnem, szafki jaskrawożółte, a podłoga z linoleum. Szafki pomalowała osiemnaście lat wcześniej moja mama, usiłując rozjaśnić wnętrze domu. Nad niewielkim kominkiem w przylegającym do kuchni skromnym saloniku wisiał rząd fotografii: rodzice w dniu ślubu w Las Vegas, nasza trójka w szpitalu po moim narodzeniu (zdjęcie autorstwa uczynnej pielęgniarki) wreszcie – liczne świadectwa mego dorastania, aż do ubiegłego roku. Kolekcja ta budziła we mnie pewne zażenowanie i planowałam namówić tatę, żeby ją usunął, przynajmniej do czasu mojego wyjazdu.

Cały wystrój domu był wyraźnym świadectwem tego, że Charlie nadal kocha moją mamę, i nie czułam się z tą myślą najlepiej.

Nie chciałam zjawić się w szkole zbyt wcześnie, ale nie mogłam też się spóźnić. Włożyłam, więc kurtkę – miała w sobie coś z kombinezonu do usuwania odpadów radioaktywnych – i dzielnie wyszłam na deszcz.

Nadal mżyło, choć nie dość, żebym przemokła do suchej nitki, gdy sięgałam po klucz od drzwi wejściowych, jak zawsze schowany nieopodal pod okapem. Przekręciłam go w zamku i ruszyłam w stronę auta. Denerwowały mnie cmoknięcia, z jakim moje nowe wodoodporne traperki zagłębiały się w błotnistej nawierzchni podjazdu. Brakowało mi znajomego odgłosu szurania w żwirze. Nie mogłam też niestety podziwiać dłużej mojej furgonetki – spieszno mi było wydostać się z wilgotnej mgiełki, która przylepiała się do moich włosów mimo kaptura.

We wnętrzu samochodu było sucho i przytulnie. Ktoś – Billy lub Charlie – niewątpliwie tu posprzątał, ale beżowa tapicerka wozu nadal lekko pachniała tytoniem, benzyną i miętową gumą do żucia. Dzięki Bogu, silnik zapalił za pierwszym razem, ale był naprawdę przeraźliwie. Cóż, tak sędziwe auto musiało mieć jakieś wady. Byłam jednak mile zaskoczona tym, że działa równie sędziwe radio.

Ze znalezieniem szkoły nie miałam kłopotów, chociaż nigdy w niej przedtem nie byłam. Jak wszystkie ważniejsze budynki, stała przy głównej drodze. Nie wyglądała zresztą na szkołę, ale upewniła mnie tablica. Moje nowe liceum składało się z kilkunastu zbudowanych w podobnym stylu pawilonów z czerwonej cegły.

Z początku nic byłam w stanie ocenić, ile ich właściwie jest, tyle rośło wokół drzew i krzewów. To miejsce nie miało w sobie nic z placówki wychowawczej. Gdzie ogrodzenie z siatki, pomyślałam z nostalgią, gdzie wykrywacze metalu przy wejściu?

Zaparkowałam przed pierwszym budynkiem, ponieważ nad drzwiami dostrzegłam tabliczkę z napisem „dyrekcja”. Nie stał tam żaden inny samochód, więc z pewnością parkowanie było w tym miejscu niedozwolone, ale stwierdziłam, że wolę zapytać w środku o drogę na parking, niż krążyć jak głupia w deszczu. Opuściwszy z niechęcią rdzewiejącą szoferkę, podażyłam do wejścia brukowaną ścieżką obramowaną ciemnym żywopłotem. Przed drzwiami wzięłam głęboki oddech.

W środku było cieplej i jaśniej, niż się spodziewałam. Podłogę pokrywała wytrzymała wykładzina w pomarańczowe ciapki, z boku stało kilka składanych krzesełek dla oczekujących interesantów, a ściany upstrzone były trofeami i ogłoszeniami. Głośno tykał wielki zegar. Wszędzie